



## Rozdział VIII

Ziemia eksplodowała po raz kolejny.

Tym razem krater był na tyle głęboki, by umożliwić pływającej pod skorupą planety magmie wydostanie się na powierzchnię. Blizna na powierzchni świata szybko zmieniła się w istne jezioro lawy.

Nowa Namek nigdy już nie będzie wyglądać tak, jak przed tym pojedynkiem.

Wojownicy rozłączyli się, obydwaj ciężko sapiąc. Przeciwnik, choć z początku wydawał się do pokonania, był dla nich coraz większym zagrożeniem. Drzemały w nich wielkie pokłady energii, jednak bez transformacji nie mogli ich wykorzystać, a walka i nieustanne fuzje odbijały się na nich zmęczeniem ciał i umysłów.

Przegrywali tę walkę.

Stojąc wewnątrz napełniającego się magmą krateru – nie była w stanie im nic zrobić – próbowali na szybko jakiś plan działania. Ich przeciwnik, zawisły w powietrzu paręset metrów nad nimi wydawał się pewien swego.

I rzeczywiście, jeżeli nie otrzymają wsparcia, wykończy ich... albo będą zmuszeni się transformować. Że też musieli zawrzeć tak głupi układ! Nie przyjmowali się czarnymi dupkami z innego wymiaru, byli pewni, że dałoby się ich jakoś pokonać... ale za nic nie chcieli sobie pozwolić na to, by to oni byli pierwszymi, którzy złamali umowę. To by było jak przegrać! I to z Goku, Vegetą i Gohanem. To było dla nich grosze niż wycieczka do zaświatów (w sumie ciekawiło ich, jak te właściwie wyglądają).

Tylko co mają zrobić?

- To wszystko, na co was... – zaczął Saichoro z drwina w głosie, jednak coś nie pozwoliło mu dokończyć zdania.

Promień energii, wystrzelony w miejsca, o którym dawno zapomniał, który przeszył jego ciało. Właściwie to dwa promienie, jeden opleciony wokół drugiego.

Makankosappo.

- Piccolo! – zawołali radośnie dwaj pół-saiyanie.

\*\*\*

Dziś miała wolne.

Między półfinałami a finałowym pojedynkiem zaplanowano dzień przerwy, więc Pan mogła wypocząć i zwiedzić kompleks rozrywkowy. To już była ostatnia szansa, by kupić jakieś pamiątki albo przejechać się ogromnym diabelskim młynem. Mogła też spotkać się z dziadkiem, który do tego czasu wydawał się bardzo zajęty. Mówił, że ten jeden dzień to dla odpoczynku zawodników, by stoczyli jak najlepszą walkę – w końcu wszyscy czekali właśnie

na nią. Słyszała jednak, jak C18 mówiła, że to ostatnia okazja by wydusić resztkę pieniędzy z turystów, dlatego tego dnia wszystko było tańsze o połowę.

Nie interesowało jej to zbytnio – będąc wnuczka Satana nie musiała martwić się o pieniądze. Szła właśnie z dziadkiem by przejechać się kolejką górską, którą przyozdobiono w podobizny Cella i dziadka z dawnych lat, kiedy, jak wierzyli ludzie, pokonał potwora. Ona знаła prawdę i nigdy nie mogła się nadziwić, że jej tacie to nie przeszkadza.

Chociaż teraz, kiedy była razem z Sztabem, a oczy przechodniów i ręce zbieraczy autografów kierowały się po raz pierwszy nie w jego stronę, a właśnie mu niej, zaczynała rozumieć, czemu tata wołał by inni o nim nie wiedzieli. I czemu przebierał się za Niesamowitego Saiyamana... a wcześniej wydawało jej się, że to fajnie być sławnym!

- Kiedyś – opowiadał jej dziadek, trochę sepleniąc przez wypchana smakołykami buzię. – To wszystko będzie twoje. Jestem już... – nachylił się do jej ucha i wyszeptał, jakby była najświętsza tajemnica. - ...stary. Nadal mam mnóstwo krzepy, hoho! – wyprostował się nagle i zawołał teatralnej, w obawie, że wcześniej mógł go ktoś usłyszeć. – Ale kiedyś będę musiał to wszystko komuś przekazać. Rozumiesz mnie?

Pan kiwnęła głową, pochłaniając trzecią z rzędu paczkę pałeczek pocky. Jak wszyscy, w których żyłach płynęła krew saian, miała ogromny apetyt.

- Dlatego twój występ na turnieju jest taki ważny. – teraz dziadek wydawał się poważny i przybrał mądry ton, co udawało mu się rzadko, dlatego dziewczynka wiedziała, że usłyszy coś istotnego. – Ludzie potrzebują bohaterów. Potrzebują wzory, autorytetu. Kogoś, kto będzie ich inspirować, kogo będą podziwiać i do kogo będą mogli zwrócić się po pomoc. To spora odpowiedzialność. Kiedyś to zrozumiesz, kochanie. – i poklepał ją po głowie, a ona po raz pierwszy spojrzała na dziadka Satana w inny, nowy sposób.

\*\*\*

Tam, gdzie mordercze, rozgrzane do temperatury znacznie przekraczającej ciepło lawy, rozpędzone siłą ki fotony, spotkały się z żywą tkanką, pozostał zwęglony ślad spalenizny. Trajektoria pocisku przechodziła na przestrzał przez tułów, tam, gdzie u człowieka była wątroba. Tylko, że Saichoro nie był człowiekiem.

- Auuuuuuuuh. – zawył przeraźliwie, kiedy ból rozlał się po jego ciele. W swoim, krótkim jak na Nameczanina, życiu nigdy wcześniej nie zaznał czegoś podobnego.

- Co tak stoicie? – w tej samej chwili obok chłopców pojawił się Uub. Wydawał się im jakby wyższy i trochę starszy, niż kiedy tu przybyli... a może to było tylko złudzenie. Coś w nim jednak się zmieniło. – Chodźcie! – chwycił ich za ramiona i przeteleportował ze skraju ognistego jeziora tuż za plecy Piccolo. – Lepiej zabiorę stąd panią Bulme i pana Dende. – oznajmił i znów zniknął.

- Jak ci się to udało? – zapytał Trunks nameczańskiego wojownika. – On...

- Nie zna żadnych technik ki. – zauważył Piccolo. – Potrafi latać, wszyscy Nameczanie to potrafią, ale poza tym nie wie nic o używaniu swojej mocy. Jego ciało jest słabe. – zadrwił. –

Potrafi je instynktownie osłonić przed atakiem fizycznym, ale promień z zaskoczenia...

Zaryzykowałem i udało się.

Nastolatkom opadły szczęki. Że też sami na to nie wpadli!

Saichoro przestał właśnie miotać się w furii i panice w powietrzu i... zanurkował wprost w kierunku ziemi. Ta zatrzęsa się w posadach, z miejsca, gdzie spotkał się z jej powierzchnią ktoś chyba wystrzelił z piaskowej armaty, bo pył wzbił się wysoko ponad chmury i... przywódca nowego pokolenia zniknął we wnętrzu planety.

- Ucieka! Schowa się tam, gdzie nie będziemy mogli go wyczuć!

- On coś planuje. – odrzekł Piccolo. – A ja muszę go powstrzymać.

\*\*\*

Gdy Uub przetransmitował ich w bezpieczne (o ile jakiegokolwiek mogło takie być, kiedy walczyły ze sobą tak potężne istoty) miejsce, Dende stanął przed trudnym zadaniem.

Czarnoskóry wojownik przeniósł ich na inny kontynent. Nie znał tego miejsca, nie znał Nameczan – cały czas, jaki tu spędzili, pozostawał w śpiączce – wybrał więc największe skupisko ki. Oddalony od terenu batalii okrągły płaskowyż, na którym zebrano się wielu spośród stosunkowo nielicznych mieszkańców planety. Cały czas przebywali nowi, kierując się instynktem – dzieci zbierały się razem, by pokonać strach, gdy zabrakło ojca.

Gdy były ziemski bóg pojawił się tam, oczy wszystkich zwróciły się mu niemu. To on miał im wyjaśnić, co się stało. Nie czarne dziecko obcej rasy, które od razu zresztą zniknęło, tak szybko, jak raczyło się pojawić. Nie kobieta z innej planety, która była dla nich istotą kompletnie niezrozumiałą (mimo braku podziału na płci, Dende – tak samo jak Ziemianie – identyfikował swoją rasę jako mężczyzn). Nameczanie zawsze byli trochę rasistami, lecz nie w negatywnym tego słowa znaczeniu... O ile mogło być jakiegokolwiek inne.

Dlatego to musiał być on.

W jednej chwili poczuł powinność, by się nimi zaopiekować.

- Najstarszy nie żyje. – powiedział najdonośniej jak umiał. Tyle już sami wiedzieli, każdy bezpośrednio odczuł odejście przywódcy. – Nikt go nie zabił. Zmarł sam... Ale to, co się tam dzieje, ma z tym związek.

I zaczął opowiadać co odkryli i co widzieli.

Słuchacze zamarli w konsternacji. Do tej pory wszelkie problemy, jakie napotkała ich rasa, potrafiły rozwiązać smocze kule. Czuli się dzięki nim pewnie. Chronieni od wszelkiego zła wokół. Teraz zagrożenie powstało przez nie. Relacja o postępowaniu nowych Nameczan budziła falę gniewu i żalu. Z trudem przychodziło im zrozumienie, że wola Saichoro działała na nich tak silnie, jak wola Najstarszego na poprzednie pokolenia.

- Musimy coś z nimi zrobić. – stwierdził jeden ze starszych zebranych.

- Niech opuszczą planetę! – podnosiły się głosy. – Smok przemówił: to nie są Nameczanie!

- Czekać! – wtrąciła się Bulma. – Nie rozumiecie, że tak upodobnicie się do nich?!

Będziecie tacy, jak te potwory z podziemi?! Dzielicie się na lepszych, gorszych... Najstarszy musiał wiedzieć, że różnią się od was, mimo to chciał byćście byli jednym ludem!

- Kosmitka nie będzie nam mówić, jak myśleć po nameczańsku... – szepnął ktoś z tyłu. Dende znalazł się w impasie. Dostrzegał, dzięki latom spędzonym wśród Ziemian, wady swoich braci, ale wiedział, że ich słowa mają wiele racji. Nie ma już smoczycich kul - jak mogliby odeprzeć zagrożenie ze strony młodego pokolenia, silniejszego od nich, gdyby Ci chciał i narzucić im swoją wolę?

Wtedy ktoś z tłumu wykrzyknął zaskoczony.

- Czujecie to?! Najstarszy zdążył wybrać następcę?!

\*\*\*

Gdy podążyli za uciekającym Saichoro tunelem w głąb ziemi, spodziewali się, że spróbuje zostawić na nich pułapkę. Byli bardzo ostrożni. Tunel, jaki wydrążył, sięgał głęboko wewnątrz skorupy planety, głębiej, niż znajdowały się jakiekolwiek ruiny.

Jego koniec przypadł na wnętrze rozległej, podziemnej jaskini, częściowo wypełnionej wodą. Nie zapowiadało się na to, by udał się gdzieś dalej... ale nigdzie nie było po nim śladu.

- Musiał się gdzieś tu schować. – stwierdził Trunks. – Może chce nas pogrzebać pod warstwą głazów.

- Chyba powinien wiedzieć, że to nic nie da. – odparł Goten. – Że też taki tchórz i amator sprawia nam problem.

- Lepiej nie wspominać o tym rodzicom, co? – zaproponował Trunks, dla którego duma była tak ważna, jak dla jego ojca.

Z wolną przeszukiwali jaskinię, wypatrując jakiegoś śladu. Wszyscy, za wyjątkiem Piccolo. Ten zdawał się pogrążony w myślach, jakby stanął przed wielkim dylematem, który akurat teraz musiał rozwiązać.

W rzeczywistości wypełniało go zdumienie i ekstaza.

Stary Nameczanin poprzez czarnego chłopca przekazał mu coś. Nie tylko jakieś szczątki wiedzy o ich rasie, nie tylko dziwne poczucie łączności z innymi przedstawicielami swej rasy na całej planecie, nie tylko w przedziwny sposób spróbował dokonać przez pośrednika uwolnienia jego potencjału (z marnym skutkiem – Piccolo samodzielnie dotarł już do granic swoich możliwości). On dosłownie d a ł m u m o c !

Wprost nie mógł uwierzyć, że te nagromadzone od pokoleń pokłady energii były marnowane na poczet sprawowania władzy przez starców, którzy nie byli w stanie ich wykorzystać! Cała ta siła, ten potencjał, został zapieczętowany i zmarnowany – Najstarsi mieli korzystać z mądrości przodków, dbać o pokój i zachowanie ładu, być przewodnikami dla ludu, nauczać i uzdrawiać... jednak jaka mogli nie wykorzystywać tej całej mocy, która za tym płynęła?!

Piccolo czuł, że mógłby pokonać każdego, kto stanąłby na jego drodze, tak był przepełniony przekazaną przez swoich przodków ki, w jakiś sposób potęgującą jego własną. Gdyby nie byli kierowani dziwacznym nameczańskim myśleniem starców i pacyfistycznymi ideałami, które czyniły z nich kompletnych nieudaczników, sami dostrzegliby potencjał tej mocy i pokonali Freezera. Bez najmniejszego problemu! Czy Najstarsi nie potrafili tego dostrzec? Nawet, jeżeli

nie byli wojownikami? Nawet, jeżeli na ich słabe ciała ta moc nie działała tak intensywnie...

Czy ten skarb musiał czekać, aż ktoś taki jak on go odkryje?

- Eee... przepraszam, ale tam coś jest, pod wodą. – szturchnął i wyrwał to to zadumy Uub. – O tam, tuż przy dnie.

Wszyscy zbiegli się do krawędzi tafli wody i zapatrzyli we wskazane miejsce.

- Nic tam nie ma. – skomentował Goten.

- Tylko jakieś skały. – podsumował Trunks.

- Serio, nie widzicie tego? – czarnoskóry chłopiec posłał małą świetlistą sferę w głąb wody, tak, by inni mogli widzieć wyraźnie. My to nie było potrzebne. W trakcie pobytu na Yardacie nauczył się sztuczki, dzięki której ki wzmacniała wzrok.

Tyle było sposobów, by ją wykorzystać, prócz zwykłej destrukcji...

Gdy kulą dobiegła celu, wtedy wszyscy mogli dojrzeć to wyraźnie. Ogromne jajo, już na pierwszy rzut oka wyglądające jak coś niemczańskiego pochodzenia.

- Czy to może być on? – chłopcy byli skonsternowani, jednak wszystko wskazywało na to, że ich przeciwnik zamienił się w jakiegoś rodzaju kokon... – Czy wy tak robicie, Piccolo? – dopytywał poczerwieniały od nie dostatecznie tłumionego rozbawienia Goten.

- Nie. – uciął krótko temat Piccolo, dla którego nie było powodu do śmiechu, wszakże (jak wszyscy Nameczanie) wyklął się z jaja.

- Rozwalmy to! – zaproponował Trunks i już zakasywał rękawy, kiedy stalowy uścisk zielonego wojownika zacisnął się na jego przedramieniu.

- Nie, poczekajmy, aż opuści skorupę. Zobaczmy, czy się zmieni. Jak silny będzie... – przekonywał swoich kompanów dawny arcywróg Ziemi.

- Już teraz jest bardzo silny... – zaoponował Goten.

- Obawiacie się? – zadrmiał z nich Nameczanin. – Gdzie wasza duma wojowników? Zobaczmy na co to stać! I pokonajmy go wtedy. Razem z łatwością to zrobimy. – przekonywał ich, kierując się własnymi motywami, których nie zdradzał. – Uub, powiedz coś!

- Eee... – najmłodszy z wojowników nadal był chwilami bardzo nieśmiały. – Pan Goku pewnie by poczekał...

To przeważało szalę. Pół-saiyanie za nic nie chcieliby wypaść gorzej od swoich ojców, nawet jeżeli decyzja, jaką podejmowali, miała okazać się błędem.

- Dobra... tylko ile on może siedzieć w tym jajku?

- Dajmy mu czas, chociaż do jutra. – obstawał przy swoim Piccolo. – Teraz jajo ukrywa jego ki, nie zauważyliście? Już nie jesteśmy w ślepej strefie. Wyczujemy, jeżeli coś się zmieni.

Ruszyli w drogę powrotną, a młodzi potomkowie saian już zdążyli dostrzec pozytywy tej sytuacji. Przede wszystkim: byli strasznie głodni.

Gdy było już daleko, mniej więcej w połowie drogi od miejsca zgromadzenia Nameczan, jajo zaczęło świecić nikłym złotym blaskiem.

\*\*\*

Obudził się zmęczony po kiepsko przespanej nocy.

Hotelowe łóżko było całkiem wygodne, przez cały czas trwania turnieju wysypiał się doskonale, choć nie można było nazwać to luksusowym. Cały pokój był raczej skromnie umeblowany, jednak niczego więcej nie oczekiwał po wygranej wycieczce. Chodziło o te koszmary.

Nawiedzała go we śnie okropna starucha. Plotła kompletne nonsensy, wszystko co się działo było zupełnie niewiarygodne, ale nie straszne – mimo wszystko kilkakrotnie budził się z bijącym sercem, całkiem zlany potem.

Zerknął na zegarek. Było już dobrze po południu.

Coś wybijało miarowy rytm wewnątrz jego czaszki niczym ogromny zegar. Wczoraj chyba wypił zbyt wiele... nie pamiętał co go skłoniło. Wstał i przeszedł kilka kroków dzielących go od łóżka do niewielkiego balkonu. Jego pokój ulokowany był na samym skraju budynku, przycupniętego na szarym końcu turniejowa aglomeracji, z dala od największych atrakcji i najlepszych lokali. Z okien widział nie tyle świąteczny rozgardiasz, ile niewielki skrawek dzikiej plaży i błękit oceanu.

Teraz to nawet i lepiej, myślał, można się wyciszyć, odpocząć.

Wtem jego uwagę przyciągnął niewielki, jednak szybko nabierający na wielkości obiekt. W jednej sekundzie był ledwie kropką na niebie, by w kolejnej przybrać zupełnie ludzkie kształty i wytracając prędkość opadł lotem po paraboli na osłonięty przed oczami wszystkich – poza Yowamuchim – teren plaży. Naukowiec rozpoznał go, ubrał się czym prędzej i wypadł z pokoju.

- Na pewno da się to jakoś wytłumaczyć. - powtarzał sam do siebie zbiegając po schodach, a mijanym po drodze ludziom zdawało się, że postradał zmysły.

Dogonił mężczyznę, kiedy ten był w połowie drogi do lunaparku.

- Przepraszam, przepraszam... – wołał Yowamuchi przeciskając się przez tłum za obiektem swoich zainteresowań. – Panie Gohan!

Ten, gdy usłyszał swoje imię, zatrzymał się i odwrócił, jednak najwyraźniej nikogo nie rozpoznał, ponieważ już miał zamiar odejść w swoją stronę, kiedy wyrósł przed nim zafascynowany rozgrywkami sportowymi profesor od zachowań społecznych.

- O, dzień dobry. – pół-saiyanin podjął próbę przywitania, jednak tamten już oglądał to z każdej możliwej strony, szczególnie skupiając się na butach.

- To było jakieś urządzenie z kapsuły, niech pan przyzna. Coś jak sztuczki Niesamowitego Saiyamana.

- Słucham? – Gohan był zbity z tropu. – Przepraszam, ale obiecałem córce...

- Kibicuję jej od początku turnieju! – zadeklarował naukowiec z entuzjazmem. – Widziałem jak pan latał. Wylądował pan niedaleko mojego balkonu.

Gohan zaniemówił.

Z jednej strony mógł powiedzieć prawdę. Zakończył lot w tak odległym miejscu nie dlatego, że chciał coś ukryć – ludzie po prostu dziwnie reagowali, kiedy ktoś sfruwał z nieba tuż obok nich. Poza tym chciał się przespacerować i przemyśleć to, czego się dowiedział będąc u

Popo. Nie wiedział jednak, jak ktoś z Uniwersytetu zareaguje na prawdę i czy jego opinia (i praca) na tym nie ucierpi.

- Tak, to był... eee – próbował wymyślić kłamstwo na poczekaniu, co nigdy nie wychodziło mu dobrze. – Nowy wynalazek z Capsule Corp. Jeszcze nie w sprzedaży. – wyrzucił z siebie i poszedł w swoją stronę.

Yowamuchi został w miejscu, niczym zamrożony.

W jego głowie toczyła się najprawdziwsza bitwa myśli.

Całe swoje dorosłe życie poświęcił nauce i był zdecydowanym zwolennikiem racjonalizmu.

Wraz z innymi uczonymi żywił głębokie przekonanie, że wszystko, co istnieje, można zamknąć w granicach teoretycznych pojęć sprawdzalnych doświadczalnie. Żył w świecie obiektywnych faktów, nie subiektywnych prawd. I nawet jeżeli słyszał o dziwnych wydarzeniach czy niewytłumaczalnych zjawiskach, istniały one poza marginesem jego zainteresowań, trafiając do kategorii przesady i wymysłów. Rzadkie przypadki, kiedy coś takiego spotykało jego samego, były zazwyczaj tak nieistotne i błahe, że nie poświęcał im długo uwagi, lub pozwalały się w jakiś sposób zracjonalizować.

Tak było i tym razem.

Coś, co sprawiło, że odczuł nieprzyjemne uczucie dysonansu, kiedy nowe spostrzeżenia przeczyły dotychczasowym doświadczeniom, zostało wyjaśnione w paru słowach. Wiedział już wszystko. Było tak, jak przypuszczał.

Więc dlaczego coś w środku wciąż mu mówiło, że prawda jest zupełnie inna?

Sylwetka Gohana zniknęła w tłumie, jeszcze chwila, a zgubi to zupełnie.

- Zaczekaj! – Yowamuchi krzyknął i pognął (na ile to było możliwe w stale gęstniejącym tłumie) za nim.

Odnalazł go dopiero przed Diabelskim Młynem, machającego w górę, w kierunku jednego z wagoników, gdzie najpewniej siedziała jego córka.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale... – zaczął Yowamuchi, nie będąc pewnym, co właściwie ma powiedzieć. Próbował z wnętrza pamięci wydobyć te elementy, które pasowałyby do układanki... A raczej nie pasowały do tej, która stanowiła jego wizję świata. – Pamiętam pańskie wystąpienie w Uniwersytecie Satan City i... Sądzę, że tonie było żadne nowe urządzenie, tam, przed hotelem...

- Słucham? – Gohan odwrócił się, jakby dopiero zobaczył swojego rozmówcę.

Wtem stało się coś, co było prawdziwą ironią losu, dziełem nieprawdopodobnego przypadku. Ogromna konstrukcja diabelskiego młynu zachwiała się, mechanizm spowolnił a wreszcie stanął zupełnie, zaś wielkie koło poczęło przechylać się w kierunku ziemi. Zerwana stalowa lina tańczyła w powietrzu, zagrażając życiu gapiów. Wszyscy wpadli w panikę.

Gohan odepchnął mocno natrętnego towarzysza i... zaraz gdzieś zniknął. Dosłownie! W jednej chwili naukowiec stracił równowagę i musiał skupić się na tym, gdzie zmierza jego ciało, a gry sekundę później spojrzał tam, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinien być obiekt jego obserwacji – nie wypatrzył go.

Za to po chwili błękitny materiał nieba przeciął jak strzała zielony superbohater. Ludzie, którzy patrzyli w niebo, na raz zaczęli odzyskiwać spokój, niektórzy z euforią skandowali „Sa-yaman!”. Bohater złapał linę, pociągnął ją a wraz z nią cały młyn, aż dotarł do miejsca, gdzie była wcześniej umocowania, a potem jakby – Yowamuchi miał pewność, że bez użycia żadnej maszyny – przyspawał ją do zniszczonego uchwytu.

Gdy koło młynu było już ustabilizowane, zaczął wyciągać pasażerów. Był tak szybko, że zajęło mu to ledwie kilka minut.

- Pan jest znajomym taty? – zapytała go mała, czarnowłosa dziewczynka, która znalazła się przy nim nie wiadomo skąd. – Widziałam was tam z góry. Machałam do was! – uśmiechnęła się do niego.

Po chwili ją rozpoznał. Na arenie wyglądała trochę inaczej, bardziej wojowniczo i dojrzałe. Teraz, kiedy stali pośrodku terenu wesołego miasteczka, bardziej niż wojowniczkę przypominała na oko kilkuletnie dziecko, którym przecież była!

- Nie bałaś się wcale? – dopytywał.

- Czego? – jakby nie rozumiała zadanego pytania, ale po chwili odgadła jego kontekst. – Nieeee – odparła przeciągając ostatnią głoskę z przecieź mogłam odlecieć w każdej chwili. Tylko dziadek się trochę przestraszył... – ugryzła się w język, jakby powiedziała coś niestosownego.

Yowamuchi zupełnie nie przywiązywał wagi do reputacji Satana, kompletnie nie zarejestrował faktu, że ponoć najsilniejszy człowiek na Ziemi okazał strach. Skupił się na poprzednim zdaniu dziewczynki.

Głęboko wewnątrz, w miejscu, które dawno zapomniał, tam, gdzie trafiały wszystkie babcine historie, poczuł przejmujący dreszcz. Coś się w nim budziło z długiego snu.

- Tu jesteś! – Gohan pojawił się nie wiadomo skąd, zniknął gdzieś za to Niesamowity Saiyaman.

Yowamuchi wiedział już, co jest grane.

Tak mu się przynajmniej wydawało.

\*\*\*

Widok skrepowanych, zgromadzonych w jednym miejscu - nieopodal apokaliptycznego krajobrazu zniszczeń, jakich dokonali wojownicy z Ziemi w krótkiej potyczce z Saichoro – Nameczan z nowego pokolenia budził w Dendem złe wspomnienia.

Sam nigdy by nie podjął takiej decyzji.

Najstarszy jednak nie jego wybrał na swojego następcę. Nie zdecydował się też na nikogo spośród swoich dzieci i braci. Powierzył dar Piccolo, za pośrednictwem Uuba. Dziecku demona, zrodzonego z najmroczniejszej kawałka duszy starego Nameczanina, które nie znało Namek przed scaleniem z Nailem. Znało za to zło i przemoc od podszewki. Dziwiło go, że pokojowi i na ogół bierni nawet jeżeli w grę wchodziły akty przemocy wobec nich Nameczanie, tak chętnie przystąpili do realizacji jego planu. Czyżby osobowość nowowybranego „ojca” już zdążyła odbić na nich swoje piętno?

Jedno jest pewne: wyczarowane przez Nameczan łańcuchy, mimo, że czynili to bodaj pierwszy raz w historii, sprawdzały się doskonale.

Pilnowali przez strażników, wyznaczonych tylko pro forma (mogliby zerwać kajdany i ich z łatwością pokonać, ale Piccolo i reszta od razu by to wyczuli), czekali na decyzję co do nich. I mieli jeszcze długo czekać... przynajmniej do momentu, kiedy sprawa Saichoro zostanie definitywnie rozwiązana.

Dende nie wiedział jakim cudem ten zdołał uciec i ukryć się przed jego towarzyszami tak, że nie byli w stanie go odnaleźć. Nawet, jeżeli w podziemnym mieście nie można wyczuć ki, ilość kryjówek jest ograniczona...

Tak czy inaczej: kiedyś musiał wyjść.

Dende zastanawiał do tylko, jaka właściwie jest różnica między Saichoro i Piccolo, który w jeden dzień uruchomił tę samą maszynę rasowego konfliktu – nie mówił tego jednak nikomu ze swoich przyjaciół. Sam zresztą wiedział, jakby potoczyła się historia Nowej Namek, gdyby Smok nie popchnął ich ku podróży tutaj... część jego duszy cieszył widok ukaranych, który miała za twardą (ale jednak) sprawiedliwość, choć nie chciał tego przed sobą przyznać.

Przecież oni spiskowali przeciw pokojowym i łagodnym Nameczanom!

Dlatego nie mówił nic i nie robił nic.

Dlatego, cokolwiek się wydarzy, będzie współwinien.

\*\*\*

- To naprawdę niesamowite! – profesor jednego z najbardziej szanowanych uniwersytetów na świecie ekscytował się niczym małe dziecko oglądające pokaz iluzji. – Jak wy to robicie? Musicie mnie tego nauczyć!

- To bardzo proste. – mała Pan zaśmiała się. – Wystarczy skupić ki, kazać jej lecieć gdzieś, a ciało zrobi to samo!

- Pan Yowamuchi nie wie co to ki, kochanie. – Gohan leciał tuż obok nich.

Kiedy uratował już wszystkich i zdjął strój Niesamowitego Saiyamana, postanowił jak najszybciej odnaleźć Pan, która sama niepostrzeżenie ewakuowała się z dziadkiem. Gdy ją odnalazł, okazało się, że zdążyła wygadać natrętnemu profesorowi wszystko, co Gohan chciał przed nim ukryć, oraz jeszcze więcej.

Co niewiarygodne, ten we wszystko z marszu uwierzył, choć na zdrowy rozsądek nikt poważny nie wzięłby gadania kilkulatki za nic więcej niż produkt dziecięcej wyobraźni. Nawet to ucieszył taki obrót wypadków, choć zawsze obstawał za tym, by to siła jego naukowych argumentów przekonała kogokolwiek ze świata nauki, nie pokaz umiejętności – temu poświęcił swą akademicką karierę. Dlatego pomysł córki, by zabrać Yowamuchiego na podniebna wycieczkę, z terenu wesołego miasteczka prosto do kompleksu wypoczynkowego zawodników i organizatorów. To jednak miał być jej dzień i nie mógł jej odmówić... Tak naprawdę to kompletnie nie potrafił jej odmawiać, w żadnej sytuacji.

Dlatego teraz, narażając się na spojrzenia przypadkowych gapiów, którzy a nóż spojrzeli w niebo, lecieli we trójkę (Pan trzymała już podstarzałego profesora pod boki) ze ślimaczą

prędkością.

Na szczęście zaraz będą na miejscu.

- Wow! – krzyknął Yowamuchi po wylądowaniu, zupełnie jakby miał ze trzydzieści lat mniej. – W życiu bym nie uwierzył, że ludzie mogą coś takiego!

- Mój dziadek jest z... – zaczęła Pan, ale Gohan zachował czujność, zaraz porwał córkę na rękę i dyskretnie zasłonił jej buzię, by nie wypaplała za dużo.

- Ja za to nie mogę uwierzyć, że dał się pan przekonać mojej córce. – zmienił temat i zaśmiał się nerwowo. -Biegnij do sali treningowej, zaraz do ciebie dołączę!

Dziewczynka rozpromieniła się słysząc obietnicę treningu z ojcem, ponieważ było to dla niej najlepszą zabawą. Gdy zniknęła za obrotowymi drzwiami, tak szybko, że aż ich obrót wywołał podmuch wiatru, mężczyźni zostali sami.

- Szkoda, że moja praca pana nie przekonała, jednak cieszę się, że będę miał choć jeden głos poparcia na uniwersytecie. – próbował ostrożnie wybadać swojego rozmówcę co do jego zamiarów.

- Zdecydowanie! – odparł ten z nieskrywanym entuzjazmem. – Szczerze mówiąc, to nigdy nie byłem szczególnie sceptyczny co do pana hipotetycznych założeń w kontekście do teoretycznego modelu mechanizmu energii pojmowanej jako abstrakt – Gohan w międzyczasie westchnął ciężko - ale w odniesieniu do rzeczywistości... Nigdy bym nie przypuszczał!

- Ehm... – chrząknęła jakaś postać za ich plecami. Odwrócili się równocześnie, by zobaczyć, kto ich tak podszedł.

Gdy tylko Yowamuchi rozpoznał tę osobę, zbladł, aż był biały jak ściana.

- Baba Gula! – wykrzyknął Gohan. – Nie spodziewałem się takiej wizyty! Przyjechałaś tylko na finałową walkę?

- Wwww... – zaczął się jękać przerażony Yowamuchi. – Wiedźma z koszmarów! – niemal upadł, złapał się rękoma za głowę. – Nie, to nie może być prawda! Chyba tracę zmysły! To wszystko musi mi się śnić! Chyba...

Baba Gula zbliżyła się do niego, jak zawsze lewitując na swojej kuli, i zdzieliła go laską po głowie. Mężczyzna natychmiast stracił przytomność.

- Tylko by przeszkadzał. – zakończyła temat, nim pół-saiyanin zdążył cokolwiek powiedzieć. – Musimy porozmawiać. O nim. I o twoich badaniach. To ważne.

Gohan spojrzał głęboko w oczy starej czarownicy i już doskonale wiedział, że sprawa jest naprawdę poważna. Przebywając z Popo nauczył się jednak, że na wszystko nadchodzi odpowiedni czas i pora.

- Najpierw przeniosę go do jakiegoś pokoju – wskazał na nieprzytomnego profesora. – A potem muszę zobaczyć się z Pan. Obiecałem jej coś. I to też jest ważne. Możemy porozmawiać w drodze. Co miałaś na myśli mówiąc o moich badaniach?

\*\*\*

Wojownik klapnął na krzeselko, autentycznie zmęczony, jak tylko można być przy towarzystwie niezmordowanej kalkulatorki. Pan stała się o wiele silniejsza niż ostatnio, kiedy z nią trenował. Gdy dorośnie, może być na prawdę potężna. Na razie precyzyjne ważenie każdego ciosu było dla niego idealnym ćwiczeniem samokontroli.

Teraz zajęła się chwilę Niedźwiedziem (już chyba wszyscy, łącznie z głównym zainteresowanym, zaakceptowali, że jej decyzją co do uczynienia zeń przyjaciela-pupila już zapadła), więc mógł odbyć rozmowę, która na niego czekała. Baba Gula wykazała się nadzwyczajną cierpliwością, co mogło oznaczać tylko jedno – to coś ważnego i niekoniecznie przyjemnego.

Do tego było w jakiś sposób związane z jego karierą naukowca.

- Możesz już mówić, co ciebie do mnie sprowadza?

- Profesor Yowamuchi. – odpowiedziała krótko. – Muszę zabrać go do jego pokoju, póki jeszcze śpi. Będzie myślał, że to wszystko to był sen.

- Czemu miałby tak sądzić?

- Nie mogę ci odpowiedzieć. - rzekła z autentycznym żalem w głosie. – Dawno temu przysięgłam chronić pewnej tajemnicy. Chciałabym też cię prosić, żebyś przestał zajmować się tą sprawą?

- Jaką sprawą? – był wyraźnie zbity z tropu.

- Próbowaniem, by naukowcy uwierzyli w istnienie ki.

Naukowiec roześmiał się historycznie. Poświęcił ostatnie lata, by skonstruować cały teoretyczny model na tyle dokładny, by odzwierciedlać fenomen życiowej energii i ujmował jej możliwości zastosowania... za nic by tego nie odrzucił. Baba Gula nie miała w nim dłużnika, by móc wymagać takich rzeczy.

- Nie mogę tego zrobić. – odpowiedział kulturalnie. – Tym bardziej, kiedy nie znam powodów, dla których...

- Biedak. – przerwała mu. – Ten profesor z uniwersytetu. Odkąd tu przybył, myślał za dużo. Zazwyczaj naukowcy nie zajmują się takimi dziwacznymi rozrywkami, są we własnym świecie... bez urazy. W jego przypadku musiałam interweniować. Podejrzewałam, że jeszcze może sprawić kłopot, dlatego zapisałam się w jego snach, by tylko kiedy nie zobaczy, pomyślał, że to co się dzieje, jest nierzeczywiste. W końcu jest wnukiem mojej dobrej przyjaciółki. Gdyby nie to, nie musiałabym go pilnować.

Gohan uniósł się z krzesła, rozgniewany, jednak trzymał swoje emocje wewnątrz.

- Chcesz mi powiedzieć, że nikt mi nie uwierzy... a z tych, którzy uwierzą zrobisz szaleńców? Pan właśnie kolejny raz rozłożyła Niedźwiedzia na łopatki, a ten ryknął donośnie.

- Ostatnie, czego bym chciała, to wejść w drogę komuś z rodziny Goku, ale to nie zależy ode mnie. Nie ja, to ktoś inny.

- Kto? O czym mówisz, do cholery?! – tracił cierpliwość, aż lemoniada w zakładkach na stole przed nimi zaczęła bulgotać w szklankach. Pan i Niedźwiedź spojrzeli na niego, zaskoczeni

tak nagłą zmianą nastroju. Kiedy Gohan się denerwował, nawet osoby mi wyczuwające ki, tak, jak nowy kompan Pan, wiedziały, że robi się niebezpiecznie.

- Czas na mnie. – wiedźma postanowiła zniknąć jak najszybciej. – I tak już powiedziałam za dużo, niektórzy by to wzięli za zdradę. Na razie! – buchnął dym, a Gula zmieniła się we wronę i odleciała. Gohan pozwolił jej odlecieć, cccp5, że był wściekły przez to, co powiedziała, a jeszcze bardziej przez to, że nic nie wyjaśniła.

- Co się stało tatusiu? – mała Pan w sekundę znalazła się tuż przy nim. – Gdzie pani babcia? – rozejrzała się wokół. – O! A co to? Pani babcia coś zgubiła. – podniosła stary i podniszczony zwój papieru, który znalazła tam, gdzie przed chwilą czarownica zmieniła się w ptaka. – Wszystko dobrze? – zmartwiona zapytała ojca, widząc, jak wpatruje się w znaleziony przez nią przedmiot.

\*\*\*

Noc zapadła nad nieustannie żywym i gwarnym miastem, którym była infrastruktura Najwspanialszego Pod Słońcem Turnieju Sztuk Walki. Kibice powoli rozchodzili się do swoich hoteli. Już jutro to miejsce całkiem się wyludni. Dla miejscowych zakończy się czas wzmożonej pracy. Zakończą się żniwa, które pozwoliły im nabić swoje trzosa na tyle, by przeżyć do kolejnego turnieju. Zmiana całej wyspy pociągnęła ze sobą zmianę życia mieszkańców – teraz nic mi uprawiali, nic mi produkowała, zdani byli na wpływy gotówki z kieszeni przyjezdnych, w zasadzie ten jeden raz w roku (na nielicznych turystów poza sezonem nie można było liczyć, choć niewątpliwie ściąganie ich gorący piasek i błękit oceanu). Wszyscy jednak byli raczej zadowoleni, bo w tak krótkim czasie zarobili wcale nie mniej – może nawet więcej – niż dawniej przez cały rok. Tutaj świat poszedł do przodu i tylko przodkowie, których nie wiązały już kłopoty doczesności, mogli mieć żal o sprzeniewierzenie dawnych tradycji.

Całkowitym przypadkiem trzy miliony lat świetlnych od Ziemi, w innej galaktyce, na planecie zwanej obecnie Nową Namek, kiedyś noszącej nazwę *Erde*, również zapadał wieczór. Przedstawiciele starego pokolenia zielonych kosmitów na zmianę patrolowali teren ulokowania swoich więźniów, który zdążył się przekształcić w prawdziwy obóz. A nienawistnych spojrzeń, jakie rzucali im młodzi można było wywnioskować, że wzajemne animozje pozostaną, nawet jeżeli kiedyś trwający obecnie kryzys będzie jedynie odległym, pokrytym patyną czasu, wspomnieniem. Starzy Nameczanie również spoglądali na swoich młodszych kuzynów jakby mniej łagodnie niż zwykli patrzeć zazwyczaj. Coś się zmieniło i obydwie grupy musiały poddać się tym zmianą. I tylko przodkowie mogli mieć żal o zburzenie funkcjonującego od pokoleń porządku.

Gdzieś w innym zakątku wszechświata, już całkiem blisko Ziemi, jeżeliby liczyć w odpowiedniej skali, statek kosmiczny z logo Capsule Corp. Zbliżał się do swojej macierzystej planety. Wiózł na pokładzie tylko jednego pasażera – dumnego saianina, który wzorem poprzednich pokoleń swej rasy, obwiązał się w pasie własnym ogonem, na znak swojego

pochodzenia i korzeni, o których przez lata nie pamiętał. Do niego przodkowie mogli mieć żal jedynie o to, że przypominał sobie o nich tak późno.

I znów na Ziemi, w tym samym miejscu, na wyspie pogrążonej w wyczekiwaniu przed najważniejszym wydarzeniem dla niemal wszystkich tam zebranych, w zaciszu swojego apartamentu, w luksusowo leżą praktycznie urządzonym gabinecie, człowiek-saiyanin pochylał się nad starożytnym dokumentem, a którego miał dowiedzieć się o wiele więcej o własnym pochodzeniu (przynajmniej połowicznie, od strony matki), o pochodzeniu i historii wszystkich całkiem i częściowo ludzi, niż mógł przypuszczać. To on mógł mieć żal do własnych przodków, za to wszystko, co zrobili przed wiekami, a czego piętno miała nosić Ziemia aż do jego czasów.

Pierwsze elementy układanki zaczęły dopasowywać się w obraz...

\*\*\*

W hotelu na skraju całego kompleksu rozrywkowego Wyspy Turniejowej, w pokoju z widokiem na plażę, obudził się podstarzały profesor uniwersytetu Satan City, specjalista od zachowań społecznych. Wyjrzał za okno.

Była jeszcze noc.

Coś wewnątrz mówiło mu jednak, że minęło już bardzo dużo czasu od momentu, kiedy upojony nieco zbyt dużą ilością alkoholu położył się spać. Rozłożył laptopa na niewielkim stoliku i sprawdził datę.

- Spałem cały dzień... jak to możliwe? – pytał sam siebie, choć wiedział, że nie uzyska odpowiedzi.

Powoli przypominały mu się fragmenty jego niesamowicie długiego snu. Był naprawdę nierealny! Latanie, ludzie podnoszący wielotonowe konstrukcje z metalu, więdmy na szklanych kulach... a historie opowiadane przez Pan były już kompletnie pozbawione zdrowego rozsądku. Że też człowiek w czasie snu wierzy w to wszystko i nie zwątpi nawet przez chwilę! Zawsze go intrygowała ta naiwność i łatwowierność onirycznego postrzegania, zupełnie jakby cała siatka percepcji gubiła się gdzieś między jawą a snem...

Paroma kliknięciami otworzył dobrze ukryty folder na dysku swojego wysłużonego przenośnego komputera.

Nie zawierał on żadnych istotnych odkryć, rewolucyjnych hipotez, bezcennych teorii, intelektualnych grali. Było w nim coś, czym Yowamuchi uwielbiał zajmować się już od dziecka, szczególnie w długie wieczory, kiedy z trudem przychodziło mu zasnąć. Teraz, kiedy obudził się w środku nocy po dwudziestoczworgodzinym śnie, nie prędko przyłożył głowę do poduszki.

Podrapał się po czuprynie i... wyczuł guza?

Nieważne. W końcu mógł wczoraj gdzieś nieźle przywalić i nawet tego nie pamiętać.

Otworzył nowy folder edytora tekstu i zabrał się do pisania, by w jakąś całość sklecić chaotyczne i postrzępione wizje z najdłuższego snu w życiu. Zastanawiał się przez chwilę, wokół czego nadbudować całą historię, tak, by miała jakiś mianownik, łączący w całość

wszystkie oderwane od siebie fragmenty, opowiadki wyśnionej Pan, jego senne wyobrażenia, a zarazem jego własne pasje i... coś jeszcze. Coś, co nadałoby historii smaku.

Aż przypomniał sobie o pewnej starej ludowej legendzie.

Zaczął tak:

*„Dawno dawno temu, w górach oddalonych od stolicy o tysiące kilometrów rozpoczyna swój bieg najdziwniejsza z dziwnych historii...”*

\*\*\*

Głęboko pod powierzchnią planety, zanurzone w spokojnych i zimnych wodach podziemnego jeziora, zakamuflowane pośród skał, spoczywało wielkie nameczańskie jajo.

Wyróżniało się nie tylko rozmiarem.

W odróżnieniu od innych, te posiadało właściwości luminescencyjne. Emanowało złotym blaskiem. Z początku było to nikiel, znikające po chwili światło, ledwie powidok. Teraz cała woda była nim przesycona i rozświetlona, niczym wielka radioaktywna kałuża wokół atomowego reaktora. Wszystkie żyjące w jej toni stworzenia pomału...

Coś wewnątrz skórzastego jaja zaczęło się poruszać.

Coraz intensywniej, szybciej, częściej, gwałtowniej.

Na grubej błoniastej powłoce pojawiło się pierwsze pęknięcie...

Niedługo miał nastąpić nowy dzień.